



Kobieta z żelaza

65

- Mam 42 lata. Za sobą dwa małżeństwa, troje dzieci, siedem mieszkań, dwa domy i miłości nie wiem ile. Wszystko robię raz za razem. Bo mi się wydaje, że nie zdążę.

Kiedy kwitły magnolie na jej maturę, w Polsce wszyscy mieli problemy. Poważne, głębokie, nurtujące tak bardzo, że na nic więcej nie starczało sił.

Cybulski kontemplował je zwykle kiwając się na drzwiach, muzy naszego filmu płały po scenach zadumane. W filmach szeptało się albo grało „na niedomówienia” i wtedy do Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie trafiła ona. Krystyna Janda.

„Gwałćcie mnie na ławce i na trawce” - ryczała do zdumionej wysokim tonem u tej niepozornej dziewczynki komisji egzaminacyjnej „Dytyramb o wiosnie”. Zdała.

- Byłam pierwszym mężczyzną polskiej kinematografii - mówi po 20 latach. - Wiedziałam czego chcę i czego nie zniosę.

Jest aktorką niepokorną. Kiedy reżyserka „Domu kobiet” chciała zmienić zakończenie sztuki i kazała zagrać inaczej niż umówiły się wcześniej, Krystyna Janda powiedziała stanowczo - nie.

- Rozpłakałam się i bosy wybiegłam z gmachu telewizji. Zawrócono mnie. Zagrałam jak było umówione.

Dlatego że jest aktorką i tak bardzo kocha oklaski, cieszy się mężem - inżynierem. Nie artystą, ciągnącym ją w nocy na spacer po majowej łące.

- W domu artystką jestem ja - mówi. - Ja mam problemy, stresy, nerwy, Edward jest spokojny i kochający.

Myszę, że gdybym została w poprzednim związku z Andrzejem Sewerynem, spaliłabym się.

To bardzo trudne tak wyjść z teatru i zapomnieć o owa-



cyjach, o ludziach, którzy stoją półtorej godziny na spektaklu, żeby móc obejrzeć właśnie Ciebie. Wsiąść potem do auta, pojechać do domu i w tym domu zrobić mężowi jajecznicę, a dzieci pytać co słycać w szkole.

Człowiek chce dalej mówić o sobie, słyszeć o sobie, stąd tytuł aktorów pije, stąd rozwody i tragedie.

Kiedyś taki szal przechodził Fronczewski. Kochały go siusmajtki i stare panny. Wszyscy go kochali. Przyszedł któregoś wieczora do teatru, miał grać Hamleta. Wszedł do garderoby i napisał na lustrze: „przepraszam, nie mogę”. I pojechał nie wiadomo dokąd.

Krystyna Janda stara się bardzo, żeby dom to był dom. I serce jej rośnie, kiedy pięcioletni synek Adaś pyta ją zdziwiony na spacerze: „mamo, czemu ci ludzie chcą, żebyś coś pisała im na kartce?”

Nie przynosi do domu teatru ani filmu i bardzo zdziwiła się decyzją córki Marysi, że chce zagrać w „Kolejności uczuć”.

- Nie znałam scenariusza, nie chciałam go znać - twierdzi Janda. - Ale już po drugim dniu zdjęciowym wiedziałam, że Marysia zakochała się w tej pracy, że chce grać.

Wyprowadziła się z domu, wynajęła mieszkanie i studiuje w Wyższej Szkole Teatralnej. Kiedyś chciała być lekarzem.

Można całe życie być lekarzem kiepskim i nikt tego nie zauważy. Można być nie najlepszym prawnikiem i też jakoś pójdzie. Ale aktor każdą rolę pokazuje swoją klasę, sprawdza się, weryfikuje co chwila i jeśli nie jest świetny - widać to jak na dłoni.

- Marysia wie o tym wszystkim - twierdzi Janda. - Widziała nieraz moje histerie, obłąkane nerwy przed premierą. Będę za nią trzymać kciuki.

Sama jest osobą sukcesu.

- Nie mam marzeń, tylko plany. Nie narzekam, staram się robić użytek z tego, co przynosi los - mówi. Nie biadoli nad porażką, tylko biegnie dalej robić co innego, lepiej, po nowemu.

Kiedyś z okna przyglądała się, jak amerykańscy chłopcy na amerykańskim wuefie grali w baseball. Ośmioletni brzdące, tarzający się w kurzu, do krwi, na śmierć i życie. Grali, żeby wygrać.



Krystyna Janda zagrała w ponad 50 filmach. Jej wizytówką jest rola w „Człowieku z żelaza” w reżyserii Andrzeja Wajdy (1981 rok) i w „Przesłuchaniu” Bugajskiego. Za tę ostatnią otrzymała Złotą Palmę podczas festiwalu w Cannes w 1990 r.

Z wielu jej ról teatralnych za najważniejsze uznaje się „Dwoje na huśtawce”, „Kotka na gorącym, blaszanym dachu”, „Abelard i Heloiza”, „Medea”, „Biała bluzka”, „Shirley Valentine”, którą niedługo Janda zagra po raz dwusekny. Rok temu zadebiutowała jako reżyserka spektaklu „Krakowiaczy i górale”.



U nas nie walczy się tak zadanie, nie wierzy się, że sukces jest w zasięgu ręki.

Tylko trzeba ją wyciągnąć. Rola w filmie „Przesłuchanie” Bugajskiego, za którą Krystyna Janda dostała Złotą Palmę w Cannes, nie była napisana dla niej.

- Ja ją wyszarpałam. Bugajski chciał, żeby grała inna aktorka. Od Wajdy zależała zgoda na produkcję tego filmu. Poszłam do niego i powiedziałam - musisz mi załatwić tę rolę. I załatwił.

Kiedy przyjechała z Cannes, zmęczona, szczęśliwa, zaparowała sobie herbatę w kuchni późną nocą, podszedł do niej jej tato. - Przypomniałem sobie, że ja też kiedyś grałem w szkolnym przedstawieniu - poklepał ją po plecach. - Ty po mnie masz ten talent.

- Ja mam właśnie taki dom - śmieje się Krystyna Janda. - Tato ani razu nie był w teatrze, w domu, przed telewizorem, w połowie filmu, w którym gram - zasypia. To mi daje szansę być normalną.

Za każdym razem, kiedy grała w filmie czy spektaklu miała swoją wizję w głowie. Stąd się brały jej konflikty z reżyserem - chciała „robić” całość, być za sterem. I stanęła - ósmego stycznia święci swój filmowy debiut reżyserski pod tytułem: „Hedda Gabler”.

- Ja popelnę harakiri, jak się dowiem, że w Dwójce leci tego dnia kolejny odcinek „Przystanku Alaska” - chwytła się za głowę Janda. - Tak bym chciała, żeby się popsuly jakieś ważne kable w innych programach i wszyscy mogli oglądać tylko ten mój film. Jest to najważniejszy film na świecie.

Wszystko, za co się bierze Krystyna Janda jest okropnie ważne.

- To szczęście - mówi - mieć pracę, którą się kocha. Moja siostra długie lata wstawiała co rano i pędziła do biura, do pracy, której nie cierpiała, do pokoju, w którym siedziała z dwiema kobietami, których szczerze nienawidziła.

Ja bym tak nie mogła. Nie oddaje się połowy życia tak łatwo.

Aleksandra Miedziejko
Wypowiedzi Krystyny Jandy
nie są autoryzowane.
Fot. Tomasz Zieliński